PRZYSZŁOŚĆ

ILUSTROWANY DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

WYCHODZI 1-EGO i 15-EGO KAŻDEGO MIESIĄCA

ROK I. = KRAKÓW 1 CZERWCA 1903 = NR. 6 i 7.

PRZYSZŁOŚĆ

ILUSTROWANY DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI
WYDAWANY STARANIEM MŁODZIEŻY

WYCHODZI 1-EGO I 15-EGO KAŻDEGO MIESIĄCA.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Dla miejscowych		dla zamiejscowych	
miesięcznie . . .	—·80 hl.	miesięcznie	K. 1
kwartalnie . . .	2·40 „	kwartalnie	„ 3
półrocznie . . .	4·80 „	półrocznie	„ 6
rocznie	9·60 „	rocznie	„ 12

W Prusach miesięcznie 1 Mk., we Francyi 1 fr.

CENA OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę	Kor. 20·00
za pół strony	„ 10·00
„ ćwierć „	„ 5·00

NUMER POJEDYNCZY 40 hl.

PRZYSZŁOŚĆ nabywać można i abonować we wszystkich galicyjskich księgarniach, ajencyach i głównych trafikach. Główna sprzedaż na Kraków w biurze dzienników W. Hopcasa i Salomonowej — na Lwów w ajencyi dzienników G. Siebauerowej (ul. Karola Ludwika).



UKRZYŻOWANY.

TYMON NIESIOŁOWSKI.

EDMUND BIEDER.

»UTOPIA« O TEATRZE WYSPIAŃSKIEGO.

Rzucam myśl.

Piszemy i mówimy wiele o »Wyzwoleniu« — unosimy się nad »pięknością« »Wesela« — może nawet wbrew intencyom autora, któremu właśnie przez te zachwyty ciężką wyrządzamy krzywdę — każde stronnictwo polityczne woła: »Polska, to my« — każde widzi wady, schłostane niemiłosiernie przez Wyspiańskiego u drugiego stronnictwa, nie widząc swych własnych — robi się jednem słowem »literaturę« — liczman ze słowa świętego, które w duszach naszych, otwarcie sobie to powiedzmy, zatraciło wartość swoją i świętość.

Czyście pomyśleli, jaka tragedya straszna gra w duszy wodza, który nawołuje do boju śmiertelnego — czując, że pozycya bez boju stracona, a żołnierze wtedy zachwycają się tonem głosu jego i śledzą estetykę jego ruchów — a zamiast iść w bój gorącem sercem, dają mu nędzne oklaski za piękną przemowę?

Zaiste nie można było wyszukać bardziej wyrafinowanej tortury dla autora, jak te oklaski, jakie się ozwały po zapadnięciu kurtyny po pierwszym akcie »Wyzwolenia«.

Bawić się przyszedł naród — wesoły spędzić wieczór — nie słuchać słowa świętego, które jak piorun dusze zapalać powinno.

»Nie tykać Konrada, bo to świętość narodowa!« — wołacie.

Ale cóż się z tą świętością stało w duszach waszych — co się z nią stało?

Jakżeż d z i ś wygląda ten wasz Konrad?

I dał go Wam Wyspiański z całą rozpaczną ironią i tęsknotą.

Zatargał waszemi trzewami i zamiast dzwonu Wawelskiego, który wielkim jeno grał duchom — kazał w »tam - tam« dla Was uderzyć.

Gdyby Wyspiański po »Wyzwoleniu« pisać zaprzestał — nie powinnoby to dziwić nikogo.

— — — — — — — — — — —

Pod jasnobłękitnem niebem Hellady, skąpany w blaskach słonecznych tysiączny tłum zaległ półkole — a tam z dołu płyną ku niemu słowa wielkie i święte i świętym dreszczem wstrząsają mu piersi.

Tłum wlepił w scenę źrenice, serca walą jak młoty i dusza tłumu w słuch przeszła i jeno słońce dzierzga złotą koronkę po głów tysiącu.

Tam w dole herosy i bogi mówią do tłumu, a w półkolu iskrzą się oczu tysiące, zaciskają się pięście i słowa w krew się wżerają, stają krwi treścią.

Z takiego tłumu, który takie słyszał słowa i tak je odczuwał, jak ci cudownie piękni synowie Hellady, mogli wyjść ludzie i herosy, którzy światu zostawili pamięć Termopyl i Cheroneję. I szło słowo święte z ust ojca w pierś syna — z pokolenia w pokolenie i tężył się naród, bo słowo świętością mu było.

— — — — — — — — — — —

Wyspiański nie ma teatru, gdzieby mógł swe dzieła wystawiać — nie ma teatru Mickiewicz, Słowacki, Krasiński.

Ciasno duchom wielkim w tej klatce, ciasno słowom świętym, które do milionów ludu chcą mówić.

Ciasno świętym słowom, wśród tego przeżartego tłumu, który po senzacyę do teatru wstąpił — ciasno orlim skrzydłom i barkom, które prężyć się chcą wolne, pod błękitem, w słońcu!

Naród niemiecki zbudował wielkiemu duchowi swemu świątynię w Bajreuth.

Nuże wy wszyscy, którzy wołacie: »Polska, to my!« sypnijcie groszem, zbudujcie świątynię dla Słowa świętego, zbudujcie ołtarz dla Znicza narodu — niech się pali — niech ogień jego w sercach setek tysiąca rozgorze — niech słowo nie liczmanem będzie — niech w krew narodu przejdzie — niech się czynem stanie.

Niech mówi Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański, nie do was, wybrani przeżuwacze Słowa, niech mówi do Polski całej!

— — — — — — — — — — —

Na Błoniach, za miastem, u stóp mogiły Kościuszki, stanął amfiteatr olbrzymi. Złocą się zdala kopuły kościołów krakowskich, wykąpane w słońcu, czerwienią się rozgorzałe mury Wawelu — szumi przedziwnie fala wiślana — a od miasta na święte nabożeństwo ducha ciągnie fala olbrzymia, nieprzebrana fala, przybyła na odpust ducha ze wszystkich stron Polski.

Śnieżą się cuchy góralskie od Chochołowa, Kościelisk, Ludźmierza, i gunie od Sącza, wieją kity piór pawich od czapek chłopów krakowskich, z pod Grochowa, Ostrołęki tłum ludu płynie — i płynie tłum ludu w niebieskich bluzach, oczerniony dymem kominów fabrycznych, zżarty przez nędzę — i idą bladzi najemnicy życia z miast, świecą się żupany, kontusze, czamary.

Teatr olbrzymi — sto tysięcy osób pomieścić zdolny — i sto tysięcy osób zapełniło świątynię narodu.

Widzę ich wpatrzonych w scenę — wsłuchanych w rytmiczny szum fali wiślanej w »Legendzie«, widzę ich wpatrzonych w Wandę z kłobukiem dębowym na głowie, dumną — upojoną zwycięstwem i smutną, a gdy Żywia dopomina się praw swych, widzę, jak płaczą z Krakiem, rozrzewnionym zwycięstwem swej córki.

W górę zasłono!

Olbrzymia dal... Grochów... grzmią karabiny... i płynie pieśń: »Hej! kto Polak, na bagnety!« — i wchodzi grenadyer, siwy, zbity, łzy z wyblakłych płyną oczu... pręży się ostatnim wysiłkiem — raport: — »Kto zwycięży, wolnym będzie!« — pieśń się rwie — milknie i wizya tego, co przyszło...

I znów na ruinach Rzymu wieszcze zbłąkani... i znów tron papieski... i męczennica Mieczysławska i Mickiewicz, wołający: »Zmartwychwstaniecie młodzi!«

I znów Poeta i Stańczyk, Wernyhora, i Chochoł, grający tańczącym — — — — — — —

I znów...

Widzę ten tłum, jak zęby i pięści zaciska, widzę, jak mu płoną źrenice i wiem, że wróciwszy z odpustu do rydla i pługa, wróci z wiarą, z ogromną jasnością i umiłowaniem ogromnem tej ziemi czarnej, którą krwią własną i potem orasza.... a może i ci inni uwierzą w moc Słowa a wyzwolą dusze z pod wpływu literatury...

A wtedy...!

To, co się dziś robi, — te wszystkie festyny, rauty, nabożeństwa — kontusze, chorągwie cechowe i te mowy z wytartym komunałem — to parodya, a i smutna ironia tego, co robić należy — to blichtr i szych marny — to frazes, słyszany sto razy, który mamy na zawołanie. — Masowe sprowadzanie chłopów na »Kościuszkę pod Racławicami« lub »Obronę Częstochowy«, ta cała parada, — to usadzanie ich razem z wytwornie uśmiechniętemi damami, które, w braku lepszego zajęcia, lubią się od czasu do czasu »zajmować ludem«, — te wszystkie wysiłki tych, którzy lud chcą budzić, nie odniosą skutku, dopóki nie wyplenimy przedewszystkiem frazesu z dusz naszych. Nie chłop jest analfabetą, — bo chłop ma jeszcze duszę świeżą — i słowo czuć umie, — ale »inteligent« z miasta!

Jeżeli mamy analfabetów, to w pierwszym rzędzie zaliczyć do nich należy tych wszystkich, co o Słowie tylko mówić potrafią, ale w dusze im ono nie wchodzi.

Jakżeż więc mają podnosić ducha narodu ci właśnie, którzy sami zatracili wrażliwość na moc Słowa?

Dla tych więc przedewszystkiem trzeba świątyni ducha — nowej.

— — — — — — — — — — —

Trzeba wreszcie raz kwestyę postawić jasno. Albo Wyspiańskiego poezya jest Ewangielią narodową, wtedy trzeba dla niej zbudować kościół nowy, albo też jest tylko literaturą i należy do sztuki, wtedy należy ją sądzić tylko ze stanowiska zjawiska artystycznego. — Nieporozumienie ustanie wtedy w zupełności. — Panowie recenzenci pism nie będą potrzebowali wysilać mózgów na zrozumienie i wytłómaczenie symbolistyki narodowej, jaką są przepojone dzieła Wyspiańskiego, — i zniknie literatura śmieciarska, która jest jego urągowiskiem.

Trzeba sobie wreszcie raz jasno zdać sprawę z tego, że dramat Wyspiańskiego nie jest sensacyą dnia, nie jest zabawką dla grzecznych panów i pięknych pań, — ani nie może być przedmiotem jednodniowych sprawozdań roboczych, — a sam Wyspiański nie jest panem, któryby się miał pokazywać przed rampą na poklask publiczności, tylko dlatego, że Pani X. czy Y. pragnie mu złożyć hołd i zauważyć przy sposobności, jakie ma oczy...

Teatr krakowski, pomimo pietyzmu, z jakim wystawia dzieła Wyspiańskiego, nie nadaje się na tego rodzaju przedsięwzięcia w zupełności. Świadczy o tem już sam napis na jego frontonie: »Kraków — narodowej sztuce«. Wyspiańskiego dzieła są wprawdzie sztuką, i to narodową, ale poza tem są czemś daleko więcej, — a dla tego czegoś — ramy teatru krakowskiego są za szczupłe — a publiczność, która teatr ten zapełnia, za mało jeszcze przyzwyczajona do Słowa, — powiedziałbym, — nie obrażając nikogo, za mało inteligentna. Że tak jest, dowodem może być jej zachowanie się w stosunku do niektórych dzieł Wyspiańskiego.

Przyczyniają się do tego dwie rzeczy: Raz za bliska odległość między sceną a widzem, powtóre antrakty, największe nieszczęście każdego autora dramatycznego.

Dlaczego, zaraz uzasadnię: Proszę sobie wyobrazić »Warszawiankę«, graną na scenie wielkiej i w należytej odległości od widza. Zatraca się wtedy ruch i gest aktora, widz przestaje się interesować postacią i tonem głosu, a chłonie Słowo, — Słowo zapala mu duszę, a aktor jest tylko żywą ilustracyą Słowa i aktorem »grającym« być przestaje, staje się kapłanem tego misteryum, które w duszy widza **nie na scenie** jako wizya się rozgrywa.

Przedstawienie teatralne przestaje być wtedy »przedstawieniem«, staje się nabożeństwem i podniesieniem ducha.

A na nabożeństwo nie idzie się dla rozrywki i senzacyi, i nie dla obserwacyi tonu głosu i ruchu kapłana, jakim jest wtedy aktor.

Większa odległość między widzem a sceną zaciera wrażenie dekoracyi, a daje wrażenie rzeczywistości. Co się tyczy antraktu — to ten należałoby znieść w zupełności.

Ustanie wtedy zabawienie się dziełem przez pięknych panów i wytworne panie — słuchacza opanuje Słowo — i wyjdzie pod jego wrażeniem czystszy i szlachetniejszy, przestając się zajmować krytyką, która do niego nie należy. Trzeba wreszcie raz przywrócić Słowu jego pierwotną wartość i znaczenie — a tych wreszcie, którzy warunkami zmuszeni są pisać koniecznie o dziele, przyzwyczaić do tego, że krytyka nie analizą, lecz syntezą dzieła być powinna — kto zaś takiej syntezy dać nie potrafi, niech raczej o dziele nie pisze, — a tembardziej o dziele Wyspiańskiego, bo dzieła ducha, duchem czuć należy, nie zaś sądzić je mózgiem.

Streszczając się, kończę. Wyspiańskiemu potrzeba sceny greckiej, sceny prostej bez ozdób i lóż, które rozpraszają uwagę widza, potrzeba mu sceny wielkiej, coby kwiat Polski i ducha Polski pomieścić była zdolna — a taką sceną, scena dzisiejszego teatru krakowskiego nie jest. Niechże więc stanie teatr narodowy, prawdziwie narodowy kościół dla Ewangielii narodu, niech stanie Panteon święty tu, w Krakowie. Niech tutaj, gdzie prochy mówią i kamienie, przemówi i Słowo imieniem tych prochów i kamieni, niech mówi duch współczesny narodu, aby się naród tężył i szedł w świt ku odrodzeniu, wbrew rozpacznemu łkaniu Słowackiego, żeśmy »pawiem narodów i papugą«.

— — — — — — — — —

Myśl, jaką rzucam, nie jest nową. Poruszali ją przedemną Nowaczyński i Feldmann, marząc o podobnym teatrze w Zakopanem. Mojem zdaniem teatr taki stanąć powinien w Krakowie — a w pierwszym rzędzie dla Ewangielii narodowej, której wartość w murach teatru dzisiejszego zupełnie się zatraca. Może inni myśl podejmą i jaśniej rzecz odemnie przedstawią — a wdzięczny im będę, byle myśl w czyn przeszła.



ROMAN JAWORSKI.

Z WOLNYCH ŚPIEWÓW.

BŁĄDNICA.

Zelżyli Ją, oplwali, na urągowisko wydali i śmiech.
A bojąc się, by nadal przeszkodą im nie była w kupczeniu
i rozpuście — pospólstwa tłumy zwołali, by Ją kamienować.
Czyniąc to nie wiedzieli co czynią, jako że byli ludźmi
z miasta i ciężar pospolitości spadł na ich serca, a chmura
nieświadomości przyćmiła umysły im.
Gdy zaś Ją już ukamienowali, nie znalazł się, ktoby dół
wykopał i pogrześć chciał nieżywą.

Więc wyszła z ciała narodów Idea i Błądnicą się stała,
że nie dane Jej było spocząć w grobie.
Błądnica błądzi, na ludach szuka misty.
Prometeuszy ludom stwarza, by nowy ogień zapłonął
u ziemskich ołtarzy...
By ludy narodami się stały, z narodów powstała Ludzkość.
By Ludzkość Błądnicę w świątyniach czciła, Jej służbę czyniła,
królowanie dała.

Jest droga widna białością swoją.
Początkiem jej, gdzie jest poczęta Myśl-Prawda,
a koniec hen — u rajskich bram.
A tam przestrzenny święty chram.
A w w chramie płonie święty Znicz,
A Znicz zbawienie ludom da.
I trzeba Znicz na ziemię znieść,
by Widem był wśród błędnych dróg,
i trzeba zdziałać czynów Czyn,
wyzwolić dusze z ziemskich win,
królestwo stworzyć Ducha!

Idą więc rzesze pątników, zwolna idą wieki całe.
A droga długa, stroma i zawrotna.
I nie ma cienistych lip ni potoków srebrzystych, by wionął chłód
i ulgę w znoju dał.
Więc ustają pielgrzymów gromady, a którym wola była,
by dojść — nie dochodzą.
Błądnica trwogą jest im, zmorą.

Nie ustają w pochodzie, u których czoła Przeznaczenia płonie znak.
Idą — jako że rozkazanie posłyszeli i poczęli Myśl,
idą — jako że czują moc a ukochali Czyn,
idą — jako że życia przebiegli gościńce i dążą do Nieśmiertelności.
Ich wiedzie tęsknica do zaświatów,
ból i zlitowanie, że wyschły źródła ożywczych ziemi soków,
pragnienie uzdrowień napojów,
wiara w zbawienie i cud.
Im jest Błądnica cichą opiekunką i przodowniczką przy pochodzie stóp.
Boskie na się bierze ciało, jasność bije od Jej lic.
Widną jest o zmroku, gdy pieszczotę czyni, włos z czoła odgarnia
i szepce tak wyraźnie, tak wyraźnie...
Białą jest Jej szata, choć na nią spadła krew...
Rumiane lice, choć zwalały je życia szarość i brud...
Kruczą splotów kiść, choć je srebrzy zgryzot i zawodów szron...
Nadziejny ust pogodnych uśmiech, choć żre go choroba...

Przeźroczy oczu jasnych błękit, choć go ścicmni cierpień głąb...
Potężna pogarda śmiertelnego jutra i wielkie ukochanie wieczności...
I woła:

Naprzod pielgrzymi!
do rajskich bram,
gdzie święty chram,
gdzie płonie Znicz,
naprzód pielgrzymi
na czynów Czyn,
by świat odtworzyć,
uwolnić z win,
naprzód pielgrzymi
jak woje, ratary,
by nam serafów
grzmiały fanfary,
by archanielskie
śpiewały chóry,
by wieńce wiły
niebiosów córy
do ziemskich krain
gdy dojdzie słuch,
że Zniczem w dłoni,
na światów władztwo
idzie KRÓL DUCH.

Błądnica śpiewa, w nich ogień płonie i spieszą.
Na przełęcze się wspinają mlecznych dróg
i idą zdziałać czynów — Czyn, zanucić pieśni — Pieśń.
Oto powrócą jako Prometeusze i dokona Błądnica na ludach dzieła msty!

ŚWIĘTO ŻYCIA.

Naród obchodzi wielkie święto życia i uroczystym hymnem nadziei wita majowy uśmiech Jutrzni.

Pierwszy maja! Święto robotników, usiłujących przebłagać Obojętność niebios krwawą modlitwą o chleb powszedni, błaganiem o wyzwolenie z głodu... Głos nędzy woła o pomstę, o krwawy sąd...

Trzeci maja! Święto narodu, jękiem orzącego cmentarze dawnej chwały, zrodzonej w męczeństwie bohaterstwa, i skargą boleści błagającego Tego, który jest, o zmiłowanie, o łzawy promyk nadziei zmartwychpowstania... Głos niewoli woła o ogień czynu, który niszczy przemoc wszelką...

Ziemia Polonii, umajona ocknionem kwieciem cmentarnem, opromieniona tęsknem wejrzeniem Komety-tułacza, woła jękiem błagania o mocy cud...

A błaganie to ginie niewysłuchane w mrocznej Otchłani Cierpienia, które jest żywota prawem.

Dlaczego? Wszak głos boleści kruszy skały Obojętności i topi lody Zapomnienia!

Oto dlatego, iże naród pokłada nadzieję w czarach uśmiechu Złudy i nie tworzy słońc z ruin wnętrza swego.

Niewolnikiem jest niedoskanałości własnej, więc nie zwycięży błaganiem przemocy Zgrozy.

Niech myślą rodzi błyskawice, a słowem pioruny, a będzie wysłuchany...

— — — — — — — — — —

Obchody! Rocznice!

Iżali w obchodach spoczęło przebłaganie i wspomożenie cudowne?

W oczach pacholąt czytam lęk i boleść: czują nicość krzyku wielkiego.

W oczach starców czytam zniechęcenie i nałogu obłęd: czują próżność słów i uczynków swoich.

W oczach młodzieńców czytam niewiarę i tęsknoty żal: oczekują burzy i piorunów gromu.

A jednak wszyscy nie chcąc wierzą w moc Złudy-tyrana i czynią krzyk wielki na cześć Urojenia.

I tylko wybrani wierzą w potencyalną moc duszy człowieczej i w Miłość Tego, który świat opasał krzyżem przebłagania: i są wolni od klątwy i w samotności tworzą Zwycięstwo...

Obchody! Rocznice!

Wzgardą płoną lica Wiosny żywota zewnętrznego, a oni czczą niewolniczym jękiem tę wzgardę tyrana; albowiem nie chcą uczynić swego wnętrznego żywota Wiosną Odrodzenia...

Smutkiem tchną ruiny Konstytucyi i Wolności, a oni wielbią złudny blask pobielanych grobów, opromienionych krwawą łuną przekleństwa, wołając: Niech żyje radość żałoby!

Wierzą w moc Złudy, a nie wierzą w moc, utajoną w ich wnętrzu.

I dlatego dźwigają jarzmo niewoli...

Obchody! Rocznice! Szał radości, miasto żałoby!

I ja także obchodzę ruiny Przeszłości mojej i łzami tęsknoty polewam kwiaty jeszcze świeżych mogił, gdzie spoczęła modlitwa moja błagalna.

I westchnieniem wiary buduję krzyże na ruinach, iżby świadczyły, iże czuwa dusza moja.

I wejrzeniem ascety rozpalam ognie na wzgórzach śmierci, iżby świadczyły, iże wierzę w cud zmartwychwstania.

I tchnieniem boleści całuję krzyż wyzwolenia, iżbym spoczął w Cieniu miłowania Pana.

I stoję na ruinach Przeszłości mojej, a kojący powiew Wschodu przemawia do mnie echem wspomnień bolesnych:

Świat złudzeniem jest, a żywot wszelki snem tęsknoty o Raju utraconym.

Ananke przemocą włada żywotem człowieczym i karmi głód myśliciela trującym uśmiechem Złudy.

Człowiek błądzi w cieniu Śmierci, szukając miejsca, gdzie przeznaczono mu spocząć na chwilę.

A błądząc w cieniu Śmierci, dźwiga jarzmo wcieleń: i odradza się, iżby czyścił żywot.

I czemże darzy ziemia-macocha niewolnika swego?

Oto cierpieniem i wzgardą, iżby człowiek poznał, iże jest ptakiem przelotnym.

Miłość ziemska więzi dusze w klatce niewoli i unicestwia wyzwolenie Człowieka.

Przez niewiastę Ananke ujarzmia Człowieka czynu i czyni go niewolnikiem Złudy.

Daremne wysiłki, daremne wzloty myśli i wyobraźni!

Daremne porywy serca, rozognionego blaskiem chwilowego ocknienia!

Czyny człowiecze giną w mrokach Chaosu bezpłodne, zmiazdżone, zhańbione...

Myśli wzniosłe toną w krwawych chmurach boleści, złorzecząc tym, którzy walczą ze Śmiercią...

Snem jest żywot człowieczy. Sen jest zwiastunem Śmierci, która wyzwala z mroków żywot boleści.

Więc poco budzić śpiącego? Iżali po to, iżby poznał niemoc ludzką i zgrozę życia? Izali po to, iżby sromotnie zginął w walce z Przeznaczeniem? Iżali po to, iżby wzmocnił zbrodnię, która rządzi człowiekiem ocknionym?

Po co budzić śpiącego? Niech śpi w cieniu Jesieni, przykryty zwiędłem kwieciem młodości, i oczekuje przyjścia Zimy...

Wiosna jest tyranem człowieka.

Budzi człowieka, iżby czynił, a za czyn płaci wzgardą, niewolą...

Napełnia serce złudą, która gorycz rodzi.

Napawa pragnienie uśmiechem, które przekleństwo rodzi.

Karmi łaknienie rozkoszą, która zbrodnię rodzi.

Każe tworzyć, a niszczy twory żarem i głodem.

Każe walczyć, a upadla walczących w niewoli.

Każe wierzyć w wyzwolenie, a zabija życie wojny tchnieniem.

Każe weselić się na łonie złudy, a zatruwa radość żądłem gadziny.

Każe wchłaniać czar poezyi, a serca rozpłomienia ogniem nienawiści, zbrodni, upodlenia.

Każe wierzyć w wieczność panowania Piękna, a odchodząc darzy człowieka uśmiechem wzgardy.

Więc po co czcić Wiosnę, która tyranem jest żywota człowieczego? Iżali po to, iżby stwierdzić przekonanie, że człowiek jest wiecznym niewolnikiem Zgrozy?...

Wiosna osiąga swój egoistyczny cel i odchodzi. Człowiek, który wierzył w potęgę cudzą, negując utajoną potęgę swoją, czuje się oplwanym, zmiazdżonym, wyszydzonym. Staje się wrogiem samego siebie, grabarzem żywota swego. I poczyna miłować Jesień...

Urzeczywistnienie ideałów spoczęło w grobie. Przez grób do zwycięstwa. Przez negacyę życia ziemskiego do żywota wiekuistego.

Tak szepta tchnienie Wschodu, które kroczy na Zachód.

Ja wiedząc, iże śpię, nie śpię, jeno czuwam.

I wiem, iże wyzwolonym być można przez samego siebie.

Wiem, iże ból pesymizmu walczy z radością optymizmu. Bezmyśl gnuśności uzurpuje prawo sędziego, a sceptycyzm grzebie zwycięstwo w walce.

Więc wierzę w utajoną Moc człowieka.

Wiosna! Maj! Święto życia! Święto nadziei zwodniczej i radości obłąkanej! Święto czynu, rozsiewającego zwiędłe wawrzyny i laury! Święto miłości, tchnącej szałem niszczenia przez tworzenie! Święto kłamliwego Zwycięstwa i urojonej Sławy, rodzącej pychę niemocy! Święto marzycieli, poetów! Wielkie święto niewolników!...

Hosanna! Hosanna! Hosanna!

Zda się, bije wielki Dzwon wyzwolenia... Zda się, z Niebios tryska światłość ukojenia... Nie, nie! To tylko głos Złudzenia...

Hosanna! Hosanna! Hosanna!

Wykrzykujcie, wyśpiewujcie, szałem zaślepienia, chwaląc Ananke, o biedni synowie mroków!

Sfinksowe oblicze Tajemnicy świeci Obojętnością. Nikt nie odpowie na głos wołania waszego. Nikt, prócz echa i szyderczego śmiechu demonów.

Cicho. Na hymn powitalny ziemi niebiosa odpowiadają obojętnem milczeniem. Kto czuwaniem myśli czyta księgę żywota, zawieszoną w mrokach gwiazd, ten poznawa zgrozę tego obojętnego milczenia...

Niebiosa przygarniają modlitwę cierpienia i ofiary. Hymn radości bezmyślnej jest pokarmem Niewoli.

Cicho. Nikt nie odpowiada hymnem tryumfalnym na hymn powitalny ziemi. W grobach zapomnienia spoczęła chwała mocarzowego czynu, zwyciężonego w walce o prawa żywota wyzwolonego. Z krwi i popiołów męczenników i bohaterów powstało pokolenie karłów, którzy piją rosę drzew cmentarnych i spożywają pleśń ruin Sławy.

Ukamienowano proroków, którzy zapalali modlitwą słońca w mrokach Zgrozy.

Zgaszono ognie, rozpalone ofiarnem tchnieniem męczeństwa na wzgórzach wyzwolenia.

Zniesławiono bohaterów myślą upiorną i kłamliwą i obłudą nakarmiono głos, wołający o ekspiacyę.

Zburzono świątynie wzniosłości i oplwano krzyż odkupienia, a wzniesiono szubienice i wybudowano więzienia.

Uwięziono moc czynu w rozkoszy gnuśności, wypędzono orłów, a cześć oddawa się sępom.

Zdławiono skargę dziecięcia przemocą prawa i zatruto jadem nienawiści dusze odkupione.

Zakazano budzić czyn w sobie, a nakazano oczekiwać czynu z krainy Złudy.

Więc któż odpowie hymnem na hymn powitalny ziemi?

Zaiste nikt, prócz Śmierci...

Cicho. Nikt nie odpowiada psalmem zwycięstwa na hymn powitalny ziemi. Tajemnica nie objawia się tym, którzy umiłowali bezmyśl. Wzniosłość nie przyświeca tym, którzy ukochali rozkosz i gnuśność. Orły nie przemówią do tych, którzy wzgardzili Syonem, a uczcili niziny. Moc czynu nie spocznie w duszy tego, który boi się ofiary i wyrzeka się cierpienia...

Cicho. I tylko westchnienie mogił odpowiada na hymn ziemi prośbą błagalną o litość, i zmiłowanie...

I tylko dzwony opłakują nędzę Człowieka...

Więc smutny jestem.

I słyszę głos wołający: Świat nie jest godzien poświęcenia twego!

I przypominam straszne słowa Syna Człowieczego: Nie modlę się za świat!

I czuję całą zgrozę żywota człowieczego, i wiem, iże światem klątwa włada.

I pragnę wyzwolić przynajmniej siebie z władzy Ziemi...

Straszne pragnienie!

Iżali jestem godzien, iżby to pragnienie ziściło się? Nie wiem...

Więc smutny jestem...

Za myślą moją, ścigającą Gwiazdę Wschodu, wlecze się mroczny Cień wspomnień, straszny Cień przeszłości mojej, będący syntezą wcieleń żywota mego...

Czyny moje prowadzą mnie do mroków Niewiadomości, iżbym orał myślą Chaos i budził Dzień w łonie Nocy.

Westchnienia moje płoszą uśmiech Złudy i błądzą w puszczy wygnania.

Wejrzenia moje suszą kwiaty grzechu i niepokoją radość ludzi.

Wiem, iżem tyran i tułacz wieczny: i żywię się wzgardą ludzką, nie żebrząc miłości.

W chwili zwątpienia chcę kochać złudą płonące oblicze Wiosny żywota, bom poznał zgrozę stąpania mego i łaknę odpocznienia.

Lecz gdy wejrzenie oka mego spocznie w radości, czuję boleść i Śmierci tchnienie.

Więc smutny jestem i godny wzgardy ludzkiej.

Kochając Wiosnę żywota zewnętrznego, wyzwolon będę z władzy Zgrozy lecz poznam gorszego tyrana: Złudę.

Więc kocham ból, który jasnowidzenia blaskiem przyświeca nadziei mojej.

Więc kocham Noc, która światłość rodzi.

Kocham Jesień, która śmierć zwiastuje.

I nie mogę nie chcieć wiedzieć, iże Wiosna żywota pisze promieniami urojenia prawa wolności, konstytucye, idee braterstwa i pojednania, a Jesień żywota grobowem tchnieniem burzy dzieło Wiosny, zdobiąc osieroconą glebę zwiędłem kwieciem myśli, czynów, pragnień, błagań...

I nie mogę nie chcieć wiedzieć, iże za Wiosną żywota kroczy Jesień żywota.

A gdy nie masz wiekuistej Wiosny, po co masz czcić kłamliwy, zwodniczy uśmiech Złudy?

Ażali po to, iżby uczynić mogiłę swoją gniazdem gadzin?

O biedny, szałem spętany synu ziemi!

Czcij Złudę, pókiś nie ujrzał robaczka, litującego się nad nędzą twoją, o urojony królu ziemi!

Wiosna! Maj! Święto nędzarzy, nadzieję mających w łzawym uśmiechu Słońca! Święto konstytucyi, pogrzebanej w ruinach Rzeczypospolitej! Święto złudnej wiary w zwycięstwo bez ofiary, w zmartwychwstanie bez próby grobowej! Obchody! Zabawy! Mowy i wyznania polityczne! Święta uczta wśród upiorów przeszłości! Uroczysta przysięga przed posągiem Bezmyśli! *Evoe vita!*

Aż tyle?! Za wiele, zbyt wiele!

Po co te hałasy i krzykliwe hymny?

Niebo płaci milczeniem obojętności.

Gnuśność, oczekująca zbawienia z chmury wiosennej, opasanej błyskawicami i przemawiającej gromem piorunów, nie dozna wzmocnienia.

Trzeba duszę uczynić na podobieństwo burzy.

Gnuśność, wzdychająca do Złudy o pomoc, nie dozna mocarzowego natchnienia.

Trzeba żywot człowieczy uczynić na podobieństwo Wiosny, ale wiekuistej, nie doczesnej!

Jeżeli w duszy gości upiór, cóż zdziała Wiosna? Oto zwiększy liczbę upiorów, czyniących żywot jako cmentarz przekleństwa.

Jeżeli w duszy żywie gad zdrady i odstępstwa, cóż może uczynić Wiosna? Oto rozmnoży ród gadów i płazów i zatruje zbrodnią żywot człowieczy.

Jeżeli w duszy pokutują ruiny, ozdobione pleśnią wzgardy, cóż pomoże Wiosna? Oto uczyni duszę jako pustynię.

Jeżeli w duszy tęskni smutek, cóż uczyni Wiosna? Oto napoi samobójstwa jadem.

Jeżeli duszą włada zwątpienie i niewiara, cóż uczyni Wiosna? Oto zrodzi upodlenie.

Więc trzeba tworzyć siebie, trzeba orać myślą glebę niewiadomości, iżby zrodziła wiekuisty owoc miłowania.

Lecz człowiek kocha gnuśność.

Nie chce tworzyć Wiosny żywota swego, więc Wiosna złudy chłosta duszę jego ironią, wzgardą i szyderstwem.

Nie chce myślą orać gleby wnętrza swego, ani zasiewać ziarnem boleści łanów duszy, iżby zrodzon był owoc miłowania, które tchnieniem obala przemoc, więc daremnie oczekuje pomocy z krainy Złudy.

Żywie pięknem zewnętrznem, które zwodzi dusze, nie chcąc tworzyć piękna wnętrznego, więc czyni kłamstwo i ginie w kłamstwie.

Sadzi lilie ideałów na gruncie bagnistym i zło-

rzeczy, widząc i czując, że lilie gniją i wydzielają woń śmiertelną.

Pisze księgi mądrości, a sam nie chce być wzorem mądrości.

Budzi ludy do czynu, a sam gardzi czynem ofiarnym.

Uczy się rządzić bliźnim, a sam sobą nie chce rządzić.

Moralizuje braci, a sam nie chce być wzorem cnoty i przykłem moralności.

Chce zbawiać ludzkość poezyą kłamstwa, wiedząc iże niewolnikiem jest niemocy.

Pisze prawa i ustawy dla całego świata, a nie chce i nie umie być prawodawcą swojej własnej duszy.

Czyni gwałt bliźniemu i złorzeczy, czując, iże gwałt mści się.

Chce wyzwalać narody z niewoli, a siebie nie chce wyzwalać z mroków bezmyśli.

Głosi miłość powszechną, a miłuje nienawiścią rodzaj ludzki.

Chce być mistrzem stworzenia, nie chcąc być uczniem Mistrza żywota wiekuistego.

Wyrzeka się wiary w Prawdę wiekuistą, a jednak wierzy w kłamstwo.

Głosi niewiarę powszechną, a jednak wierzy, iże nie wierzy, wierząc w siebie.

Więc któż wyzwoli tego człowieka, który żywie kłamstwem i złudzeniem?

Iżali Wiosna żywota zewnętrznego?

Nie! Wyzwolenie wszędzie i zawsze było krwawą ofiarą na krzyżu cierpienia.

Kto wierzy, iże Prawda służy gnuśności, ten pożąda niewoli.

Kto oczekuje pomocy cudzej, nie czyniąc potężnych wysiłków, ten nie jest godzien zmiłowania.

Kto nie wierzy w potęgę miłości, ten zginie w niewoli wiekuistej.

Polska dźwiga jarzmo niewoli, albowiem nie płonie światłością wiary w moc cierpienia.

Kłamstwem poezyi karmi gnuśność swoją, miasto odpędzić gromem tyrana-złudę.

Konstytucya pokutuje w duszy narodu, wołając o czyn, a naród, poetyzując krwawą przeszłość, udaje płaczkę cmentarną, miasto mówić czynem i tworzyć siebie.

Konstytucya upadła, albowiem naród nie wierzył w moc ducha, jeno w Poezyę.

Poezya pogrzebała konstytucyę, a zarazem i wolność narodu.

Wiosna żywota zewnętrznego zaprowadziła naród do niewoli, albowiem naród czcząc Złudę, nie wspomniał, iże za Wiosną kroczy Jesień.

Słusznie rzekł Wyspiański, że Poezya jest tyranem narodu.

I zaiste. Narody, budząc się do czynu nie z konieczności wnętrznej, jeno na rozkaz Natury, która chcąc ujarzmić człowieka, łaknącego wyzwolenia, zwodzi ludzkość uśmiechem urojenia, giną w mrokach niemocy.

Ludy, porwane zwodniczem pięknem zewnętrznem, walczą o wolność i niepodległość, nadzieję pokładając w Chaosie i nie wiedząc, iże grzebią w krwi byt swój.

Rodzą wiarę w Próżnię, a tracą wiarę w Ducha, który żywie w wyżynach.

Walczą na rozkaz Wiosny, która troska się o siebie, dopóki nie nadejdzie Jesień.

I tak ciągle, bezustannie.

Walczą i giną zmiazdżeni, oplwani, wzgardą okryci.

A tyrani zwyciężają, albowiem wierzą w moc przemocy.

Narody giną, albowiem nie wierzą w utajoną moc swoją, lecz czczą Poezyę.

I kiedyż człowiek zrozumie, iże obchodząc Święto życia, trzeba duszę swoją uczynić świętością?

Kiedyż zrozumie, iże nie będzie wyzwolon z władzy przemocy dopóty, dopóki nie będzie wolnym w duchu!

Kiedyż uwierzy, iże zwycięstwo okupuje się ofiarą!

Kiedy zapragnie uczynić duszę swoją wiekuistą Wiosną miłowania?

Zapewne w grobie, gdy się dowie, iże był tyranem samego siebie.

Józef Herbaczewski.

CH. BAUDELAIRE.

HARMONIA WIECZORNA.

Oto chwila nadchodzi, gdy drżąc na swym pręcie
Każdy kwiat, jak trybularz, promienieje wonią;
Płyną dźwięki, zapachy, plączą się i gonią;
Melancholijny walczyk w omdlałym zakręcie!

Każdy kwiat, jak trybularz, promienieje wonią;
Wieczorne skrzypki jęczą, jak w sercu zaklęcie;
Melancholijny walczyk w omdlałym zakręcie!
Niebo, jak wielki ołtarz, drga świateł symfonią.

Wieczorne skrzypki jęczą, jak w sercu zalęcie,
W sercu czułem, trwożliwem przed nicości tonią!
Niebo, jak wielki ołtarz, drga świateł symfonią;
Już słońce utonęło w krwawym firmamencie...

W sercu czułem, trwożliwem przed nicości tonią,
Strzępy cudnej przeszłości chronione są święcie!
Już słońce utonęło w krwawym firmamencie...
Jak monstrancja, wspomnienia błyszczą i skry ronią!

Przełożył Maurycy Mann.

JAN IWAŃSKI.

NOCE.

ADAMOWI KRZYŻANOWSKIEMU.

I.

PUSTO, NOC CIEMNA, CICHO — PO TROTUARZE
WŁÓCZĄ SIĘ TYLKO MGŁY, JAK BLADE SMUTKI,
CZASEM SIĘ TYLKO NA ROGU UKAŻE
ZGŁODNIAŁA POSTAĆ BLADEJ PROSTYTUTKI.

GWAR WIELKICH ULIC UCICHŁ. NIE DOCHODZI
DO TYCH ZAKĄTKÓW, GDZIE BŁĄDZĘ SAMOTNY.
WICHER Z ZA MURÓW SKRADA SIĘ, JAK ZŁODZIEJ,
NA TWARZY SKŁADA MI CAŁUS WILGOTNY.

MGŁA CORAZ GĘSTSZA.. JAK MISTYCZNE OCZY
BŁYSZCZĄ ŚWIATEŁKA LATARŃ, BLEDSZE, RZADSZE.
SMUTEK WSTAŁ Z ZIEMI I PO ZIEMI KROCZY —
JA IDĘ ZA NIM I SAM SMUTNY — PATRZĘ.

II.

JAK GŁUCHO SZUMI WICHER W ULICY USTRONNEJ —
CIEŃ PRZECHODNIA UTONĄŁ W MROKU SZAREJ PASZCZY.
W CIEMNEJ NISZY JAŚNIAŁA KOLUMNA MADONNY,
U JEJ STÓP LAMPKĘ POWIEW ZAGASIŁ HULASZCZY.

JAK SZUMI WICHER! GŁUCHO PO SZYBACH WCIĄŻ DZWONI,
JAK ŚMIERĆ DŁONIĄ KOŚCISTĄ TAK OKROPNIE BRZĘCZY...
JAK SMUTNO WŚRÓD TYCH PUSTYCH, WYMARŁYCH USTRONI,

JAK GŁUCHO WICHER PŁACZE — DEMON POTĘPIENCZY.

ŚMIEJ SIĘ DUSZO! ŚMIEJ DUSZO! NIECH TWÓJ ŚMIECH W TYM WICHRZE
ZABRZMI HYMNEM ROZPACZY, CO WSZYSTKO ZAGŁUSZY.
ALBO... ZAPŁACZ! W ŁZACH WYŁKAJ SWE SMUTKI NAJCICHSZE...
ŚMIEJ SIĘ! PŁACZ! TU WICHR TYLKO ZADRWI Z SMUTNEJ DUSZY.



JÓZEF MACIEJOWSKI.

WYZNANIE.

(FRAGMENT).

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta...
J. Słowacki.

Rozlewne tony sonaty Bethowena to słabszymi to silniejszymi akordami dźwięczały pasmem zadumy, wylewając dziwny czar, uderzały o moją pierś, śląc majaczące z przeszłości obrazy coraz wyraźniejsze, coraz trwalsze, im stawały się bliższymi niedawno przeżytych chwil.

Stałem przy oknie. Pustą ulicę oświetlał zimnymi blaski księżyc, przepajając nimi przestworza hen ku błękitom usianym w gwiazdy. Oczy moje spoczywały na zgliszczach spalonej kamienicy, ślizgały się po sterczących odłamach muru, bezładnie rozrzuconych stosach kamieni i cegieł, wśród których szarzała nicość, szarzał smętek — ból.

Zdało się, wszystko pogrążone było we śnie, zdało się, anioł znużonych rzucił osłony spoczynku, białemi skrzydły ocienił świat, kołysząc go szeptem modlitw do snu.

Wstęgą szeroką płynęły w oddali wody Wisły. Posyłałem ku nim drgające echa dźwięków sonaty, by się łączyły w szmerowy jeden akord, by szły wraz z niemi tam, gdzie biegły marzenia moje, sny moje, rojenia, życie moje. Uśmiech smutku zawisł mi na wargach i skonał. Patrzyłem przed siebie coraz niewyraźniej, mętniej...

W przejasnych falistych blaskach, niby w mgłach lekkich zbarwionych bladem, nikłem światłem płynęłaś ku mnie.

Stałem pozwalając grać własnej fantazyi, pragnąc duszą całą widzieć Cię blisko... bliżej, czuć każdym nerwem, topić spojrzenia, obejmować każdym momentem istnienia, a wtedy żyć wieki — wieki.

Z gorączką warjata śledziłem każdy ruch, doszukiwałem najlżejszych drgnień ducha Twego, by nie stracić nic! nic!

Sonata łkała...

Ton za tonem kładłem w widzenie, ton za tonem wbierałem w głębiny własne, łącząc je z Twemi, Twej postaci białej, drgającej życiem, promieniami, w które rozkołysane tchnieniem duchów serce ubierało Cię z wiarą i oddaniem w aureolę nigdy niestartych prawd zjawionych w rzeczywistości, co zeszły, by dać poznać — co to jest szczęście.

I szedłem duchem w odblask przeszłości — szedłem ku Tobie...

Na strunach harf bezkrańcowych ech pieśni wiecznej — tak cicho, jak schodzą mar najświętszych mirjardy, niknąłem Ty i ja w dale błękitne.

Niepokój rozkoszy osłonił nas purpurą i rzucił pod stopy nirwany nieśmiertelności.

Ponad nią w gwieździstych bezdnach stałaś otulona tęczami rozmiłowania mego jak bóstwo, jak potęga, jak możnowładca dzierżący życie ludzkie — stałaś cudna.

Czytałem w błękitach Twoich ziszczenie szczęścia, klęcząc u stóp całowałem śnieżne Twe dłonie obejmując lica tęsknotą zadumy uczuć.

Szeptałem o zaświatowych z Tobą rozkoszach, modliłem się do Ciebie, tuliłem jak dziecko, jak pan, jak skąpiec swój skarb.

W mirjardzie pocałunków jak wśród labiryntu bezkońcowego szału roztęsknionych żądz, w mirjardzie zaklęć, w mirjardzie pieszczot, w ukoju cichym chciałem zostawać niby w błędnem kole, za krańcem którego mgławice smutku mi były.

Sonata łkała...

Ku Tobie biegły me sny i rojenia i rozpłynęły się w postaci Twej i zawisły na duchu Twym i wskazały mi przez Ciebie wierzyć i żyć, sięgać ku szczytom, boś uświęciła myśli me uczuciem. —

Jak rozpłomienione pustynne korowody piasko-



JARZMO. XAWERY DUNIKOWSKI.

wych zawiei uderzające o siebie prawem żywiołów, zlały się duchy nasze w jeden.

Jako tęsknice pobratane smutkiem, jak walki skute z pragnieniami, anioł z aniołem w myślach zbawień świata!

Ilekroć padałem uciśniony niedolą własnego bytu, rozpaczy pędzonych tłumów w dal, ilekroć czułem niezmożność porwania żelaznej życia okowy, ilekroć w spazmach drgała pierś, rozgorzałe serce martwiało zwątpieniem, zjawiałaś się Ty świetlana tęskna moja.

Kładłaś w ducha mego moc czynu i wiary, spojrzeniem gasiłaś przekleństwa palące, skażone pogardą, bolem na prawa, czy świat! U Twoich stóp widziałem godziny bytu, miłość i rozpacz, wśród nich człowieka — szary proch, podjęty wtedy tylko na piedestał, gdy złotostrunna lira serca zadrga, święcąc przez Ciebie rozkazy potęg, święcąc ideał, święcąc duchów nić.

Wielbię Cię!

Może szyderstwem rozdarty świat niema Cię taką, może rzucając w pierś mą echem czarta rozłkany klątwą rozczarowań własnych nie widzi Ciebie taką, jak mój duch. Cicho rozwarłaś Ty ramiona moje, coraz to niknąc, coraz blednąc, ginąc, za towarzysza miałaś tęskność moją — królowo marzeń — złud.

Odeszłaś.

Arfy serc ton Cię nie wstrzymał ni próśb, ni zaklęć, ani błagań słowa, blask oczu Twoich przeniknął ból żalu, że tylko marą dla mnie pozostałaś moją w fantazyi. Stałem jak widmo milionom podobny — żar w oku, w piersi smutek jeden tkwił — cisza — w około świat pomrokiem skryty biedny i pusty.

Światło księżyca barwi dziwnie zgliszcza.

Saintsaensa tańce zmieniają sonatę, z gruzów powstają korowody mar.

Łuna pożaru gdzieś hen rozogniona, jaskrawem światłem tłumiąc blask księżyca, pali na gruzach pochodnie zniszczenia — zapowiedź nowych zgliszcz. Taniec szkieletów w pełni całej wre.

Szum, zgrzyt, szyderstwo — szarpań walki moc — cienie przeszłości — pasmo dalszych chwil...

Taniec szkieletów w całej pełni wre — jako zerwana serca mego siła, jako obłędny tłumów nędzy los i jak miraże plącząc się bez końca i jako żądze splatając się z sobą w chaosie sennym i jak one ginąc — głuchnie.

Niegdyś prawd wiara biła w pierś i serce, niegdyś przybytkiem ducha była ona — dziś tętnią echem korowody mar tęsknicą zwarte, śląc pustkę, śląc ból.

I tylko czasem w progach zmarłych szału cierpieniem wstaje niepowrotna chwila i jak błysk gromu rojenia porywa i jak on kona, zapaść im się każe znużona niemoc przenikając w wnętrzne.

EDWARD LESZCZYŃSKI.

KRÓL GRALU.

(ROMANCA).

W jesiennych zimnych światłach
Tak smutnie gaśnie dzień,
Na duszę mi się kładzie
Przeszłości długi cień.

Stłumionem wraca echem
Minionych urok snów
I wszystkie dawne rany
W mem sercu krwawią znów.

W pamięci mi się plącze
Królewski dawny myt,
Daleki widzę zamek
W kryształnych blasku płyt.

W złoconej sali kona
Świętego gralu król;
Niebiańskim skarbem włada,
A w zamian cierpi ból.

Króluje wśród rycerzy
I kona od stu lat;
Tajemna o nim sława
W szeroki biegnie świat.

Rycerzy zewsząd nęci
Świętego gralu cud;
Nikt nie wie, w czyjej mocy
Męczeństwa skrócić trud.

Niejedna z dam dostojnych
Na zamek z radą szła,
Lecz króla zbawić może
Kobiety czysta łza.

Królewskiej męki urok
Niejednej nęci wzrok,
Lecz czystej łzy królowi
Nie przyniosł setny rok.

I próżno wzdycha do tej,
Co miała zdjąć zeń ból
I wiecznie, wiecznie kona
Świętego gralu król.



LUDWIK EMINOWICZ.

SONET.

Już słodka pieśń słowika obłąkała kwiaty;
Ananka dni ptaszęcych śni skrzydlate losy;
Ze śnieżną siostrą brzozą srebrne gwiazd wykłosy
spotkały się w topieli miesięcznej poświaty...

Cyt... Sowioskrzydła cisza zaskoczyła światy...
Ktoś stąpa... Żółwim krokiem idą drzew kolosy
zawodząc hymn prastary, szalony, bezgłosy —
Błękitów dzwon przesącza milczeń aromaty... — —

O drzewa! jestem z wami samotna myśl ziemi,
z powieścią waszych giestów smutek mój ożenię,
wyniosłość waszych milczeń rozwiąże w westchnienie
i będę wam wtórował tętny bezsennemi,
o drzewa... — Żółwim krokiem idą drzew kolosy
zawodząc hymn prastary, szalony, bezgłosy...

PIOTR ALTENBERG.

ZMIERZCH BOGÓW.

Piękna była, piękna jak Kythérea z morza zrodzona, gdy białymi palcami wyciskała łagodnie kroplisty ocean z świetlanej fali włosów.

Nazywała się Anita.

Mając lat 14 działała już cuda i jak promienna grozą, błyszcząca Góra Magnetu ciągnęła ku sobie okręty życia i druzgotała...

Patrz! Wszyscy chłopcy z gimnazyum stawali się mężami na jej widok, a wszyscy mężowie gimnazyastami!

A jeden z nich podał jej kartkę, na której było napisane: »Chciałbym umrzeć dla ciebie Anito———!

A ona czuła: »Tem można żyć — żyć«.

Tak doszła do słodkiej cudownej świadomości, że żyje w niej jakaś ogromna, boska potęga, spływająca złotymi promieniami na szarych, zimnych ludzi, niosąc jasność i ciepło z mysteryi własnych systemów słonecznych.

I poznała, że ta potęga płynie niby elektryczność świata z jasnej fali jej włosów, z jej ócz wodnistych błękitno-szarych, z dwojga piersi wspaniałych, z rąk białych i lśniących szat jedwabnych. I czuła się panią tej siły.

I żyła, odkąd poczęła żyć, jak boginie wielkie — — ukochaniem. Śpiewaniem chutnem i skargą ócz płaczących i psalmem serc rozmodlonych, dymem kadzideł a wieńcami, żyła płomieńmi a modłami, słowem miłośnem a zniszczeniem.

Co jej przynoszono, przyjmowała wdzięcznie, a uśmiechem dziękowała. Tak żyła dając jasność a ciepło z mysteryi własnych systemów — słonecznych, siejąc łagodne promienie wiosenne i żary letnie gwałtowne, to kryjąc się znowu pod słońce zimowe.

Raz śmiejąc się powiedziała o mężczyznach: »To moje ziemie«.

Raz znowu: »Znam jedną tylko istotę szczęśliwą na ziemi. Moją starą posługaczkę w kąpieli. Może mnie oglądać w całej mojej wspaniałości«.

Innym razem w pływalni wołała z uśmiechem z kabiny: »Która z pań chce mnie oglądać, zapłaci tylko koronę. Pieniądze dostanie biedna Marya«.

A wiele dziewcząt poszło i zapłaciło koronę. Tylko jedna nie przyszła.

A Kythérea rzekła do niej: »Stefanio, dlaczego nie przyszłaś oglądać mojej wspaniałości?«

»Inne« — odpowiedziała Stefania — przyszły nie po to, by oglądać twoją wspaniałość, ale by znaleźć błąd w tobie.

A ja wiem, żeś ty bez błędu, bo ten tylko, który bez błędu jest, traci wstyd i swobodnym jest w przepychu greckiej nagości Anito«.

Raz przyszedł Bóg — poeta liryczny: trącił struny i śpiewał: »Kythéreo! zrodzona z morza———«
I umilkł.

A ona pytała: »Któż jesteś — co przedstawiasz?«
»Ja? Syn bogów jestem — poeta«.

Wówczas uważała go za równego sobie i obdarzyła najpiękniejszym uśmiechem. Ale on żądał wciąż więcej. Wtedy dotknęła dłonią jego pleców i rzekła: »Oszukałeś mnie. Nie jesteś synem — bogów«.

— »Skąd wiesz?«

»Nie wystarcza ci nektar ni ambrozya. Musisz żreć, jak byk na łące. Odejdź«.

A on myślał: »No——— nowe wrażenie———!«

A później przyszedł prawdziwy syn bogów. »Ah! I tyś także taki! pomyślała i dała mu najbardziej obojętny uśmiech.

Ale on żył tym uśmiechem.

Wtedy poznała, że to prawdziwy syn bogów, który może żyć nektarem i ambrozyą i jest jej równy.

A potem przyszło inne, trzeźwiejsze pokolenie.

I jeden, który już nie był poganinem i nie znał Kythérei z włosami kroplącymi oceany, ni świątyń greckich, ni ofiar, powiedział jej: »Chciałbym cię poślubić Anito. Będę cię szanował i wiary ci do-

chowam. Ale porzuć ten uśmiech pogański. Zostaw go takiej Kálmàr, Dirkens, Otérô, uświęconym boginiom«.

A ona czciła go, bo nie był poganinem i nie zważał na jej uśmiech.

I porzuciła uśmiech pogański — — —

A kiedy rzuciła ten uśmiech, który dał jej moc nad światem, nad chłopcami z gimnazyum, nad słuchaczami prawa i medykami z uniwersytetu, nad uczniami z akademii sztuk i nad oficerami, nad synami fabrykantów, nad fałszywymi poetami i nad prawdziwymi, sama przestała być pogańską Kythéreą, córą morza, jak to fałszywy poeta śpiewał, a prawdziwy czuł i stała się Anitą T. panią taką a taką, która co czwartek dawała »fixy« z kolacyą, z wyjątkiem wieczorów w teatrze.

A mąż powiedział jej: »Nie chcę dłużej rozprawiać na ten temat, ale wiem, że dałem ci spokój Anno. A był czas najwyższy. Byłabyś zginęła. Nieprawda?«

»Tak jest — — —« odpowiedziała poważnie strącona bogini »dziękuję ci — — —«.

Przełożył: Adam Grager.



SCRIPTORA: NASZA MŁODZIEŻ.

Przed kilku miesiącami pojawiła się na półkach księgarskich książka autora, kryjącego się pod pseudonimem »Scriptor«, która wywołała w kołach interesowanych, a nawet w prasie polskiej wiele wrzawy.

Wprawdzie już bardzo wiele o tej książce pisano, ale dotychczas wszystko było bądź odpowiedzią z kół interesowanych, bądź też wyszło z pod piór ludzi traktujących podobne sprawy zbyt stronniczo — a szkoda, bo dziełko to położyło wielką zasługę około młodzieży, choćby tylko przez to, że poruszyło ją do polemiki i tem samem przynajmniej na chwilę wyrwało z ospałości, w jakiej ona w ostatnich czasach się znajduje. Będę się starał rzecz tę *sine odio* omówić, wykazać o ile autor zgrzeszył zbytnią stronniczością, z drugiej zaś strony nie będę się bynajmniej wahał przyznać mu słuszności tam, gdzie ona rzeczywiście po jego stronie.

Autor usprawiedliwia pojawienie się tej książki potrzebą poinformowania szerszej publiczności »z prądami społecznymi, politycznymi i umysłowymi nurtującymi wśród młodego pokolenia« — a zatem plan piękny, ale, aby go szczerze urzeczywistnić, by nie powstało z tego pismo polemiczne, trzeba mojem zdaniem zrzec się wszelkich ubocznych celów, wszelkich tendencyi, gdy tymczasem Scriptor nie chciał, lub nie mógł tej ofiary z własnych przekonań złożyć; niemal w każdym ustępie natrafić możemy na brak bezstronności, tem gorsze robiący wrażenie, że autor tendencyjność swą stara się ukryć, wskutek czego okazuje zbytnią chwiejność, naturalnie tylko na pozór, w swoich zapatrywaniach i czasem to powoduje niekonsekwencye i sprzeczności. Często sprzeniewierza się swemu pięknemu mottu »Non mirari, non indignari, sed intelligere«, bo miast starać się zrozumieć tę młodzież, nakręca rzeczywiste nawet zdarzenia, aby tem łatwiej dojść do swych czasami mylnych konkluzyi.

W wstępie sam Scriptor twierdzi, że »kto chce poetę poznać, musi powędrować w jego krainy«, a cóż on robi, aby wniknąć w myśli, dążenia, cele i aspiracye młodzieży? Oto informuje się w notatkach gazeciarskich i skreśla nam obraz tych dwóch odłamów »politykującej« młodzieży, narodowo demokratycznego na podstawie źródeł socyalistycznych, i na odwrót — własnych spostrzeżeń nie dodaje wcale, boć czasem widać, że zebraniem nawet tych materyałów zajmowała się osoba trzecia.

W pierwszym ustępie, zatytułowanym »Cyfry i ich charakterystyka« zestawia nam autor w tabelach, o których dokładności nie powątpiewam, ilość Polaków uczęszczających do wyższych zakładów naukowych, rozdział tychże według wydziałów, wyznań etc.; tłómaczy, czemu na uniwersytetach tak mały procent z Poznańskiego (na 8300 zaledwie 500) tem, że w Niemczech trudno Polakowi dostać się do wyższych urzędów, wymagających wyższego wykształcenia, a przemysł jest jeszcze mało rozwinięty, więc i technicznie wykształcona młodzież nie ma szerszego pola do działania, podczas gdy pod innymi zaborami przystęp do urzędów jest łatwiejszy. Po tym wstępie przystępuje do ugrupowania politycznego. Jego zdaniem mniej więcej $^2/_3$ młodzieży uczęszczającej do wyższych zakładów naukowych zajmuje się polityką, a wśród tejże politykującej młodzieży są dwa stronnictwa: narodowo-demokratyczne — dziś silniejsze, i postępowe recte socyalistyczne. W rosyjskich uniwersytetach partya postępowa jest wśród Polaków dominująca, w Warszawie stosunek narodowych demokratów do postępowych jest 7:1, w Krakowie istnieje mniej więcej równowaga, we Lwowie w ostatnich latach uzyskali narodowi demokraci znaczną większość, za granicą także przewaga jest po stronie narodowców.

W drugim rozdziale charakteryzuje autor młodzież »Szkoły Głównej« przed rokiem 1870 t. j. zanim zasady socyalistyczne znalazły w jej szeregach zwolenników — zachwyca się tą młodzieżą, która zdala

stała od powstania i kierując się »zasadą odradzania się przez rozwój cywilizacyjny, stanowczy rozbrat wzięła z tradycyą porywów zbrojnych«, która nawet tak dalece posunęła swą ofiarność dla sprawy narodowej, że oświadczyła »gotowość rozjechania się po kraju i nakłaniania oddziałów powstańczych do rozejścia się«. Ta młodzież, która porzuca tę ideę dla każdego Polaka, choćby najbardziej reakcyjnego najdroższą — ideę samoistności zewnętrznej naszej Ojczyzny, przypadła zdaje się p. Scriptorowi najbardziej do smaku.

Następnie opisuje autor, jak w latach 1870—1874 soayalistyczna partya rozpoczęła swą działalność wśród warszawskiej młodzieży, aresztowania z r. 1878 i proces z r. 1885, który pozbawił organizacyę socyalno-rewolucyjną najwybitniejszych przywódców. Po tych wypadkach następuje w ruchu socyalistycznym polskim cisza, aż znowu w roku 1893 powstaje polska partya socyalistyczna (P. P. S.).

Aż do roku 1884 młodzież nie tworzyła osobnych stronnictw, tworząc tylko część integralną partyi politycznych, dopiero wypadki z tego roku wywołały rozłam. Powstaje »koło demokratycznej młodzieży polskiej«, które było jeszcze socyalistycznem. Dopiero z jednego odłamu tego »Koła«, tak zwanych »ludowców«, wyłoniła się z czasem partya narodowo-demokratyczna. Początkowo »Koło« mimo rozłamu w swem łonie działało zgodnie, po nieudanej manifestacyi 17 kwietnia 1894 przywódcy narodowej grupy zostają skazani na zesłanie, a niedobitki z partyi drugiej t. zw. międzynarodowcy po kilku nieudałych próbach łączenia się z innemi stronnictwami w kraju tworzą »Koło rewolucyjnej młodzieży polskiej«. Z odłamu ludowego powstaje z czasem partya narodowo-demokratyczna. Nie będę się rozwodził dalej nad rozwojem tych dwóch partyi, pominę tymczasem rozdział trzeci, gdyż do tych kwestyi będę zmuszony powrócić przy omawianiu broszury »Nasza młodzież w świetle krytyki« (odbitka z Gońca Wielkopolskiego, artykułów w Krytyce, Tece, Przeglądzie wszechpolskim itd.) a przystąpię do rozbioru rozdziału czwartego, nas więcej zajmującego, bo mówi w nim autor o organizacyi młodzieży w Galicyi. Co do organizacyi zagranicznych, to omówię je osobno.

Kraków autor niemal pomija, wspominając tylko, że w roku 1900/1 były tam cztery stowarzyszenia Jagiellonia, Ruch, (powstały z dawnego »Zjednoczenia«), Młodość i Czytelnia akademicka. Trzy pierwsze mają zabarwienie polityczne, konserwatywno-katolickie, socyalistyczne i narodowo-demokratyczne, Czytelnia zaś jest bezbarwną.

Nie o wiele dłużej zatrzymuje się on przy organizacyi młodzieży lwowskiej. Czytelnia akademicka do roku 1900 była umiarkowaną, czyli bezbarwną, aż żywioł narodowo-demokratyczny w niej wziął górę; młodzież zaś socyalistyczna lwowska grupowała się w »Zjednoczeniu«, a po rozwiązaniu tegoż w nowo utworzonem stowarzyszeniu »Wspólna nauka«.

Dotychczas streszczone ustępy nie nasuwają zbyt wielkich wątpliwości, co do nich polemika ogranicza się do kilku słów, dlatego je też wyłączyłem, resztę zaś książki będę omawiał równorzędnie z wyżej wspomnianymi artykułami.

I tak, co do pierwszego rozdziału, zwraca Goniec wielkopolski uwagę na zupełne pominięcie młodzieży z zaboru pruskiego co do ich stanowiska partyjnego. Co do drugiego ustępu, tenże sam dziennikarz, prostuje uwagę Scriptora, jakoby Ligę utworzyła młodzież, gdy tymczasem opierając się na Przeglądzie wszechpolskim stwierdza Goniec, że początkowo do ligi nie należał ani jeden student. Taksamo co do antysemityzmu partyi narodowo-demokratycznej stwierdza taż broszura Gońca wielkopolskiego, że jednym z zarzutów, robionych temuż stronnictwu jest tak zw. polityka »żydowska«, zaznaczyć muszę jednakże, że mojem zdaniem tutaj rzeczywiście Scriptor ma słuszność, a argumenta strony przeciwnej są słabe. Tesame uwagi tyczą się także kwestyi szowinizmu. Ale i do tych kwestyi wrócimy jeszcze przy omawianiu innych ustępów. (D. c. n.).

Oeconomicus.

ADAM WILUSZ.

PLATON

JAKO PEDAGOG I NAUCZYCIEL W ZAKRESIE PRAKTYCZNEGO WYCHOWANIA SWEGO CZASU.

DZIEŁA POMOCNICZE:

W. Windeband »Platon«. Warszawa 1902.
Krause. »Geschichte der Erziehung, des Unterichtes und der Bildung bei den Griechen, Etruskern und Römern. Halle 1851.
Schmid. »Encyklopädie des Erziehungs und Unterrichts wesens«.
Cramer. «Geschichte der Erziehung und des Unterrichtes im Alterthume« — 2 tomy. Eberfeld 1838.
Fr. Ueberweg. »Grundriss der Geschichte der Philosophie des Alterthums«. Berlin 1894.
Dr. E. Zeller. »Die Philosophie der Griechen«. Lipsk 1889.
Michael Montaigne's. Gedanken und Meinungen — 7 tomów (ad Plato) Berlin 1800.

Ożywczem niejako ogniskiem, gdzie koncentrowały się promienie oświaty i wiedzy greckiej, były Ateny.

Wykształcenie helleńskie celowało ponad inne olbrzymiem piętnem indywidualności narodowej i takie miało znaczenie, że Platon sam mimo swych sympatyi dla doryzmu, przyznał ziomkom swym na tym punkcie absolutne pierszeństwo. Spartanie natomiast prócz skrajnie dyscyplinarnych metod wychowawczych mieli pod względem naukowego wykształcenia bardzo lichą opinię. I tak Hippias na zapytanie Sokratesa, czyby Lacedemończycy nie zechcieli coś usłyszeć z dziedziny geometryi, odrzekł, że primo, wcale by ich to nie interesowało, a secundo wielu z nich liczyć nawet nie umie[1].

O tym niskim stopniu wykształcenia u Spartan wspominają i inni pisarze, jak Isokrates i Arystoteles — ten ostatni zarzuca im nawet, że wychowują swe dzieci jak dzikie zwierzęta, że dzieci te nie mają pojęcia o najelementarniejszych zasadach nauki.

Opinii tej sprzeciwia się pozornie Sokrates.

Opowiada on mianowicie, że jeżeli ktoś np. toczy dyskusyę z najmniej wykształconym Lacedemończykiem, to faktycznie dyskusya ta wcale nie jest interesującą, lecz często się zdarza, że w toku rozmowy Lacedemończyk rzuci taką myśl lub słowo, że nawet zręczny przeciwnik zostaje wprost zbity z tropu[2].

Ale niema wcale trudności pogodzić ze sobą sądy Hippiasa i Sokratesa. Pierwszy z nich mówi o skromnej w materyał i pobieżnej nauce Spartan, drugi zaś ma na myśli przez surowe wychowanie, wyrobiony hart duszy i wewnętrzną potęgę.

Że, w przeciwieństwie do Sparty, wychowanie i nauczanie za czasów Platona na wysokim bardzo stało stopniu w Atenach, da się to łatwo wywnioskować z wielu ustępów jego pism. Bo i jakżeż mógłby on inaczej postawić maksymę, że powyższe dwie cechy są najistotniejszą podstawą każdego państwa... że dobrze wychowny obywatel praw żadnych nie potrzebuje — »a jeżeli są w państwie żebracy, złodzieje, mordercy i świętokradcy—to właśnie jest to wynikiem złej nauki i spaczonego wychowania« [3].

»Najszczytniejszą myślą, jaką człowiek podjąć pragnie, to własne kształcenie się i kształcenie swych najbliższych« [4]—»a rozsądny mąż, czyż może się o coś bardziej poważnego starać, jak o to, by syn jego był możliwie najdzielniejszym obywatelem?«[5].

W podobym duchu mówi Sokrates u Ksenofonta, że największem nieszczęściem są bezwątpienia, źle wychowane dzieci [6].

Zdania o złem wychowaniu rzuca Platon w pismach swych dość często, specyalnie zaś zwraca się z wyrzutem do mężów stanu, że nie dbają zupełnie o duchowe dobro swych dzieci.

»Podobnie jak zdrowie ciała zanika w bezczynności i lenistwie, wzrasta natomiast przez ćwiczenia i ruch, tak też i dusza na drodze nauki i pracy zyskuje wiadomości, przyswaja je sobie i potęguje«[1].

Nauka i wychowanie w starożytności nie służyły do jakichś specyalnych celów, usiłowano jedynie osiągnąć wykształcenie ogólne (παιδείαν).

To też występujący w Protagorasie Hippokrates studyował muzykę i gimnastykę, nie po to, by z tych umiejętności osiągnąć zyski, lecz jedynie dla własnego wykształcenia[2].

Platon sprzeciwia się wyraźnie profanowaniu wiedzy dla usług codziennego życia — specyalnie zaś w tych miejscach, gdzie mówi o arytmetyce[3].

Jasny szkic wychowania ateńskiego daje nam ustęp w Protagorasie — podaję go w streszczeniu[4].

»Skoro tylko dziecko pojmie, co się doń mówi, wszystkich sił użyć należy, by dzieckiem tem, możliwie dobrze, pod względem moralnym i fizycznym umiejętnie kierować. Na każdym kroku należy je pouczać, co jest sprawiedliwe a co nie, co jest szczytne a co nizkie, co skromne a co bezbożne — to czyń a tego nie czyń....

Jeżeli słucha rad, wskazówek i napomnień — dobrze — jeżeli zaś nie, to nadajcie mu, podobnie jak kawałkowi drewna, które się paczy i skręca, przez groźby i plagi — właściwy kierunek.

Następnie oddajcie je w ręce nauczyciela — temu zwróćcie uwagę, by daleko więcej zważał na dzieci wasze pod względem dobrego wychowania i karności aniżeli na czytanie i grę na cytrze.

Nauczyciele troszczą się teraz o to, iż gdy dzieci są już w stanie pojąć słowa swych duchowych kierowników, uczą się czytać.

Pozyskawszy tę umiejętność, zmuszane bywają do uczenia się na pamięć utworów najcelniejszych poetów, gdzie znajdują godne naśladowania czyny dzielnych bohaterów, — napomnienia i wskazówki.

Podobnej metody używają i nauczyciele muzyki, zważając na towarzyskość i harmonię w ogronie oddalonych sobie uczni.

Wychowankowie po wyuczeniu się gry na cytrze, pobierają lekcye śpiewu. W program wchodzą pieśni celnych poetów, które dla wyrobienia sobie taktu i słuchu bywają śpiewane przy akompaniamencie cytry.

Pieśń ułagadza charakter, a kto zżyje się z do-

[1] Hipp. mai. 285, c.; (Protag. 364. b.).
[2] (Protag 342, d, e).
[3] Rep. VIII, 552, d, e.
[4] Theag. 122, b.
[5] Theag. 127, d.
[6] Ksen. Memorab. IV, 4, 22.
[1] Theaet. 153, b.
[2] Protag. 312, b — οὐκ ἐπὶ τέχνῃ ἀλλ' ἐπὶ παιδείᾳ.
[3] Rep. IV, 436, a.
[4] Protag. 235 i 236.

borem tonów, ten i zdolność posiędzie tak w biegłej szermierce słownej jakoteż i do czynu... boć całe życie ludzkie wymaga harmonii i rytmicznej miary.

W dalszym ciągu oddaje się młodzieńców w ręce mistrzów zapaśniczych, aby w zdrowem ciele gościł zdrowy duch, oraz, aby mogli celować siłą fizyczną tak w wojnie jakoteż i w innych stosownych okolicznościach.

Powyższe koleje wychowawcze przechodzić winni ci, którzy najwięcej do tego posiadają środków — a więc najbogatsi. Ci rozpoczynają naukę najwcześniej, studyują pod kierownictwem najzdolniejszych nauczycieli i najpóźniej wychodzą z pod ich opieki.

Skoro opuszczą już szkołę, muszą się teraz uczyć praw państwowych i według nich żyć, aby przypadkowo nie zboczyć na drogę karygodnej samowoli.

Podobnie jak nauczyciele zmuszają swych uczniów przy pierwszych próbach czytania, by stawiali litery w nakreślonych przez siebie rylcem na tabliczkach liniach, tak też i państwo dyktuje prawa, ułożone przez światłych prawodawców i zmusza tak rozkazujących jakoteż i słuchających do wykonywania tychże, karząc surowo tego, który je przekracza«.

Ogólnie w Protagorasie podany rys wychowania ateńskiego, postaram się teraz rozwinąć i uzupełnić.

Co się tyczy pielęgnowania dziecka w pierwszych chwilach jego istnienia, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Platon nie znał jeszcze kołysek. Żąda on wprawdzie i to bardzo wyraźnie, kołyszącego ruchu dla dzieci [1], lecz wspominając o tem nie miał kołysek na myśli napewno, gdyż te weszły w użycie znacznie później. Zalecając trojakiego rodzaju ruch, stawia w pierwszym rzędzie ćwiczenia cielesne, podróże morskie i jazdy [2]. Piątego dnia po urodzeniu odbywa się uroczystość familijna Amfidromii, podczas której obnoszą dziecko dokoła ogniska domowego.

Następnie oświadcza ojciec, czy życzy sobie, aby dziecko było wychowywane, czy nie [3].

Dzieci miały przeróżne zabawki i widocznie wielką zwracano na to uwagę — według doniesienia Aristotelesa wynalazcą tak rozpowszechnionych dzisiaj grzechotek dla »milusińkich« miał być niejaki Architas.

C. d. n.

[1] Leg. VII, 790, c, d. [2] Tim. 89, a.
[3] Theaet. 160. e — 161, a.

TUNIK.

AFORYZMY.

Dawniej mówiono: »Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy babińskie!« — my powiedzmy dziś: Gdzie cywilizacya, gdzie choćby Austrya, a gdzie Galicya?!

Dlaczego na świecie jest tak dużo osób, a tak mało ludzi?

»Alea iacta est« rzekł z determinacyą, odsapnąwszy głęboko pan radca i zapowiedział zdumionym partnerom... ośm bez aduta.

Ciekaw jestem, dlaczego psom tylko zakładają kagańce; u ludzi mogłyby mieć daleko szersze zastosowanie.

Tylko głupi może mieć szczęście — skarżył się w liście do przyjaciela, na niesprawiedliwość ludzką i brak uznania rozżalony pan X., przy czem wyraz »głupi« napisał przez »ó«.

Czas bardzo zmienia ludzkie sądy, powtórzył radykał, otrzymawszy posadę w... »Czasie«.

Powiedz mi czytelniku, którą część ciała w większej masz estymie: głowę czy plecy?

Są ludzie, którzy tylko w teatrze kaszlą.

J. B.

Z TEATRU.

(Wieczór grecki, „Na zawsze“ dramat w 4 aktach L. Rydla, „Bolesław Śmiały“ dramat w 3 aktach, Stanisława Wyspiańskiego).

Mieliśmy w teatrze „wieczór grecki“. Skargi i bóle Antygony porywały nas piękną prostotą myśli i podniosłością uczuć, a potem ujrzeliśmy wreszcie i „Protesilaosa i Laodamię“, tę perłę czystą wielkiej twórczości Wyspiańskiego, czarującą świetnością barw i siłą uczucia.

Antygona stracić wiele musiała wskutek jej „modernizacyi“ i koniecznego ze względów scenicznych podziału na 3 akty.

Któż z nas nie zna treści tego arcydzieła Sofoklesa bądź w oryginale, bądź też w przekładzie. Oto Anty-

gona, aby pogrześć ukochanego brata, przekracza zakaz srogiego Kreona i idzie z dumą i spokojem na śmierć; oto chór starców biada nad rodem Edypowym, ściganym przez Erynie, oto Kreon wreszcie srogo za zbrodnie swoje ukarany zostaje śmiercią najbliższych, — a ponad mrocznym nastrojem tragedyi unosi się potęga wszechmocnego przeznaczenia.

„Protesilaos i Laodamia“ — to wielka pieśń miłości, wiecznie rozkoszy niesytej, tęsknotą rozszalałej — pieśń potężna i górna, wstrząsająca grozą i potęgą obrazów, upajająca czarem słowa, pełna przepięknych wizyi i nastrojów olbrzymich.

I tu wielki poeta łączy się z wielkim malarzem, aby stworzyć rzecz świetną i pełną malowniczej obrazowości. Protesilaos nad miłość ukochanej Laodami, przełożył śmierć bohaterską i oto nieutulona małżonka pędzi dni w wiecznej tęsknocie; i napróżno wspomina słodkie chwile pieszczot minionych bezpowrotnie, próżno słucha pieśni o swym małżonku — ukojenie tylko śmierć jej dać może. Mocą czarów wywołany z za grobu Protesilaos nie może z nią pozostać, nie słucha słów jej pieszczonych ni łoża ukwieconego nie dzieli — odchodzi. Rozszalała bólem Laodamia przebija pierś własną, gdyż bez ukochanego na ziemi pozostać nie może. I oto po chwili widzimy dwa cienie złączone uściskiem zstępujące w mroki grobowca.

Antygonę podaną w pięknym przekładzie prof. K. Morawskiego, poprzedza prolog pióra tłumacza, ślicznie przez Arkawinównę oddeklamowany. W roli tytułowej Modrzejewska była niedoścignioną. Szlachetna powaga wraz z wielkiem uczuciem wywoływały potężne wrażenie. Inni artyści nie zdołali się, prócz Tarasiewicza i Jednowskiego, dostroić do poziomu sztuki. Wielu nie opanowało ról pamięciowo, szczególnie p. Kotarbiński, grający Kreona. Chór starców raził nagół zarówno złą grą, jak i złą charakteryzacyą.

Wykonanie „Protesilaosa i Laodamii“ było nieskończenie lepsze. Główna w tem zasługa Modrzejewskiej, gdyż ona jedna miała tu wielką rolę: ból rozszalały, rozpacz bezgraniczną, wielka artystka oddała z prawdziwem mistrzostwem.

Pięknie deklamował Mielewski, dobrze też postać guślarza oddał Sosnowski. Z niemych postaci wyróżniała się Jutkiewiczówna grająca Zmorę.

. . . .

Dekoracye i kostyumy były wspaniałe.

Na tle nieszczęsnego roku 63 naszkicował nam Lucyan Rydel w swej ostatniej sztuce p. t. „Na zawsze“ dramat rodziny, którego osią jest konflikt pomiędzy mężem pani Maryni, a jej dawnym narzeczonym, zbiegiem z kopalń Syberyjskich. Nie będziemy tu przytaczać treści dramatu, składającej się z nieprawdopodobnych powikłań i trudnych do uwierzenia poświęceń wzajemnych.

Utwór ten raczej literacki niż sceniczny, grzeszy właśnie owem nieprawdopodobieństwem sytuacyi i charakterów, czego ani piękne dyalogi, ani wiersz poprawny uratować nie mogą.

Najlepszy w sztuce akt 1-y skończył się nieszczęśliwym efektem ze szczekaniem psów, co w chwili tragicznej wywoływało nader humorystyczne wrażenie.

Artyści, grający główne role (Wysocka, Tarasiewicz, Mielewski) zrobili co mogli, aby chwiejne sytuacye ratować.

Najlepiej grał — w epizodycznej roli księdza — Zelwerowicz.

. . . .

Wspaniałem zarówno pod względem inscenizacyi, jak i gry — było przedstawienie nowego dramatu Wyspiańskiego p. t. „Bolesław Śmiały“, Sosnowski — choć rolę źle umiał — grał świetnie. O sztuce tej zamieścimy obszerniejszy artykuł w numerze następnym.

Jednowski i Mielewski dali dobrze pomyślane kreacye. Całość wyreżyserowana była znakomicie.

Jan Iwański.

LITERATURA.

„DYKTATOR“ ŻUŁAWSKIEGO.

(Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego — Lwów. 1903).

Łatwo napisać dramat, niźli przeżyć jeden akt dramatu. Ciężko odtworzyć dramat swojej własnej jaźni, lecz jeszcze ciężej odtworzyć dramat narodu. Kochać naród, czcić, sławić hymnami i odami, a nawet walczyć w obronie godności narodu. może każdy polak, będący cząstką narodu. Ale tworzyć dramat narodu może tylko ten, który jest narodem, który doprawdy czuje się być Geniuszem, Królem-Duchem narodu. Takie refleksye (może zbyt despotyczne) zrodziły się w myśli mojej, po przeczytaniu „dramatu“ p. Żuławskiego, który poznawa naród nie mocą intuicyi, lecz okiem trzeźwego literata, rozmiłowanego w martwych faktach historycznych, nie umiejącego „czytać idei w faktach“ i popisującego się niezbyt ciekawemi spostrzeżeniami i niezbyt ważnemi uwagami. Szkoda czasu i papieru. Lepiej napisać księgę aforyzmów o powstaniu narodowem, niźli silić się odtworzyć bohaterstwo minionych dni, zgodne z psychą człowieka.

Nie stworzy dramatu ten, którego dusza nie jest dramatem, który nie wie, iże dusza jego była i jest czynna w dramatach ludzkości. Nie stworzy bohatera przeszłości i obecności ten, którego jaźń nie jest źródłem bohaterstwa, lecz biblioteką szpargałów zakurzonych. Kto chce wykraść dramat, zaklęty w kurhanach chwały lat minionych, winien patrzeć okiem dziecięcia na skowronka,

który jest stróżem mogił, umajonych kwieciem cierpienia, i posłyszeć bolesną modlitwę ptaszyny, rozpływającą się w smutnym oceanie bytu, kryjącym szczątki korabi tułactwa. Winien ożywić tchnieniem czucia samotne krzyże, opłwane trzeźwemi słowy karłów współczesnych, i usłyszeć głos przebaczenia, zaklęty w drzewie cierpienia. Winien zbratać się z robaczkiem, wypełzającym z grobów na głos dzwonu cmentarnego, iżby poznał i zrozumiał prośbę męczenników. Winien tęskną myślą ścigać huragan jęku pobojowisk, iżby posiadł tajemnicę bohaterstwa. Winien być twórcą, czyli powiernikiem grobów.

P. Żuławski zrobił dramat na podstawie ludzkich sądów. Więc osądził siebie, świadcząc, iże nie jest godzien natchnienia z krainy mgławic. Odtworzyć głos umarłych — oto wielka sztuka.

Bohaterem dramatu, jak świadczy sam tytuł, jest dyktator, nieszczęśliwy Langiewicz. O nim tylko trzeba mówić, bo jest ośrodkiem akcyi. Więc mówię, że jest bohaterem książkowym, wymęczonym w jałowości, a nie żywym. Zbyt pachnie pleśnią szpargałów, zbytnio usiłuje być w zgodzie z opinią historyków, zapominając, że często kłamie sobie. Myśli, czuje, mówi, a nawet kocha (o ironio! podobno bez erotyzmu nie ma dramatu!) aż nadto historycznie, zgodnie, być może, z literacką intencyą autora, ale grzesznie, jako dyktator, mąż czynu, (abstrahując, czy prawdziwy, czy ułomny). Walkę wnętrzną stacza według przepisów urzędowej logiki i psychologii, szukając dopełnienia i natchnienia w niewieście, Pustowojtównie. Ma także swego wroga, a raczej upiora (Mierosławski), który zda się być przyczyną największej klęski moralnej dyktatora: manii prześladowczej. Tak twierdzi autor. Lecz ja wątpię, kwestyonując niezbyt uzasadnioną przenikliwość autora. Inne osoby dramatu niczem nie różnią się od pierwowzoru. Mówią, czują, działają według przepisów patryotycznej historyi, a nawet widzą oczyma Maeterlincka i Wyspiańskiego.

Dramat zbudowany według wzorów klasycznych. A więc prolog, sztucznie nastrojowy, usiłujący być w zgodzie z Maeterlinckiem, i 4 akty z krwawych dni, niezdradzających wcale zgrozy walki, ani wywołujących w interpretacyi autora wrażenia artystycznego. Wszędzie czuć mozolną robotę, chęć wywołania nastroju zużytymi effektami. Naprz. wprowadzenie Nieznajomego (wzorowanie się na Wyspiańskim) jest wprost komicznem z braku psychologicznego uzasadnienia. Albo koniec aktu 2-go łudząco przypomina mi koniec jednoaktówki Maupassant'a: „Panna Fifi“ (oczywiście w pomyśle). Nawet znany wiersz Rydla („Pod powieką łzy mnie pieką“), pokutuje w dramacie. Wogóle cały dramat robi wrażenie, że autor nie wiedział, co ma robić z nagromadzonym materyałem historycznym, czując się niezdolnym do artystycznego traktowania tragizmu przeszłości. Retoryka i patos nie zastąpi artyzmu. Robił, robił, aż wreszcie zrobił „bigos literacki“, nie umiejąc pogodzić świata realnego ze światem tajemniczym i kończąc literacką gadaninę nieszczerą wizyą i konwenansowym okrzykiem. Stosunek autora do osób dramatu jest do tego stopnia urzędowo-nieszczery, że nie mogę uwierzyć, iżby rozbitki „armii“ Langiewicza zaszczyceni byli taką wizyą, jakiej zapewne sam autor nigdy a nigdy nie miał. O biedna psychologio! Twórz historyczne nastroje i wizye, iżby wiedziano, jak nie wolno pisać dramatów narodowych.

Na zakończenie dodam uwagę, wyrażającą życzenie, iżby autor, zadość czyniąc wymaganiom klasycyzmu, napisał epilog, w którym odtworzyłby siebie, w postaci winowajcy, sądzonego przez Langiewicza i Pustowojtównę. *Józef Herbaczewski.*

Kwartał pierwszy upłynął — czas odnowić prenumeratę!

Numer ten wychodzi w zwiększonej objętości. — Spóźnienie nastąpiło z powodu zmiany drukarni i wydawnictwa.

Rozstrzygnięcie konkursu. Na konkurs, rozpisany przez redakcyę »Przyszłości« nadesłano ogółem 24 prac, z tego 17 winiet i 7 nowel.

Uproszeni przez Redakcyę pp. Feliks Jasieński, Stanisław Czajkowski i Tichy, celem osądzenia nadesłanych na konkurs winiet orzekli, że żadna z nich nie nadaje się do reprodukcyi, ani też nie zasługuje na wyszczególnienie. Wynik konkursu nowelowego ogłosimy w najbliższym numerze, który się ukaże 15 b. m.

Nieprzyjęte prace stoją do dyspozycyi autorów.

Od przyszłego numeru zaprowadzamy nowe dwa działy, a mianowicie: Przegląd prasy i Sprawozdania z ruchu towarzystw młodzieży.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Autora winiety pod godłem »Strzecha« prosimy o zezwolenie na otwarcie koperty, chcielibyśmy się bowiem porozumieć. — **Kol. Marcin Sam.** Artykuł Wasz: »O krytyce itd.« idzie do przyszłego numeru — jaki Wasz pseudonim? — napiszcie. — **Kol. Og.-Im.** Ach! co to ma być? — **A. O. J. 7.** Zastosujemy się do życzenia i dziękujemy. — **Jan Oksza.** Kiedy przyjdzie obiecany artykuł? Czołem! — **Kol. Łaska w Łodzi.** Rzecz bardzo dobra — druk rozpoczniemy w przyszłym numerze i polecamy się nadal łaskawej pamięci.

Wydawca oraz redaktor naczelny i odpowiedzialny: **Adam Wiluez.** — Z drukarni Uniw. Jagiell., pod zarz. J. Filipowskiego